

Pantery i kadzarskie księżniczki

Wschodni Teheran, przedsionek salonu piękności. Nilufar, zjawiskowa studentka biznesu, prowadzi mnie za rękę na weselny makijaż. Podekscytowana, przeskakuje schody. „Odpicujemy się!” – rzuca z zawadiackim uśmiechem. Jako goście musimy się prezentować modnie i w irańskim stylu. Ja niestety już podejrzewam, jak będzie wyglądała metamorfoza i w jakim stanie wynurzę się po drugiej stronie aksamitnej kotary oddzielającej świątynię Wenus od klatki wieżowca. Nie będzie to wizaż marzeń, ale co tam, raz kozie śmierć. Wchodzimy.

W recepcji przywitała nas pani wyglądająca jak Donatella Versace na planie filmu dla dorosłych. Miała włosy w odcieniu słoneczny blond z doczepkami do połowy pleców, napompowane usta w pudrowym różu, nierówno obrysowane ciemną konturówką, i sztuczne rzęsy jak odnóża pająka w najmroczniejszym odcieniu czerni. Jej biust był podrasowany o trzy rozmiary miseczki i lekko tylko przysłonięty białym topem z grubej koronki jak rybacka sieć, odsłaniającym jedno ramię. Całości stroju dopełniały duży lakowany pas, legginsy z czarnej ekoskóry i botki na obcasie. Na palcach straszyły jak szpony kwadratowo spiłowane żółte tipsy. Połączany łańcuch oplatał szyję i nadgarstki i odbijał się blaskiem na tle skóry w kolorze pomarańczy, dobrze podpieczonej na solarium. (W Iranie nie ma takiego parcia na jasną karnację jak w innych krajach regionu. Nie ma się też co specjalnie wybielać, Irańczycy nie są wiele ciemniejsi od nas, podążają więc za kardashiańskim kanonem urody).

W osobie recepcjonistki w całym splendorze objawiła mi się rasowa irańska pantera, palang-e irani. To gatunek drapieżny i rozprzestrzeniający się w Iranie w postępie geometrycznym, składający się z ofiar zglobalizowanego piękna, które szpeci wiele kobiet w państwach Bliskiego Wschodu, z Iranem, Turcją i Libanem na czele. Zdałam sobie sprawę, że właśnie trafiłam do jego gniazda.

– Makijaż jest na górze – poinformowała nas kocica.

Nilufar od razu ruszyła po kręconych schodach, ale moją uwagę przykuła sala po prawej, w głębi pomieszczenia udekorowanego różem i kryształami. Zerknęłam do środka. Sala przypominała pękającą w szwach halę lotniska, w której pasażerowie nerwowo czekają na opóźnione loty. Chaos, miejsc siedzących już dawno brak. To pokój do koloryzacji. Nikt tam jednak nie nakłada chłodnego brązu czy henny. Wszystkie panie mają na głowie pióropusz z folii aluminiowej do rozjaśniania. Tu wylęgają się pantery, a blond fryzura to ich znak rozpoznawczy.

Blond jest symbolem seksu, boginek Hollywood i wyzwolonych kobiet Zachodu. Złoty kolor galopującej westernizacji kojarzy się z określonym stylem życia i pragnieniami generowanymi przez popkulturę. To kropka nad „i” konsumpcyjnych trendów. Blond pozwala zrzucić etniczną powłokę i odrodzić się w nowej, celebryckiej postaci. Symboliczna metamorfoza, do której dochodzi codziennie w tysiącach irańskich salonów piękności, pozwala rasowym księżniczkom o migdałowych oczach przedzierzgnąć się w jasnowłose diwy z satelity. Stężenie torbic, dziuń i Jol jest alarmujące. Tylko listek figowy chusty i blezerek oddzielają je od estetyki bohaterów Warsaw Shore. Ta bariera znika jednak wraz z opuszczeniem ulicy – w zaciszu domów pantery zrywają się z łańcuchów. Lamparcie getry i silikonowy biust w kusym topie to nie jest tylko zachodni fenomen.

W sali czesania blond diwy podziwiała swoje nowe ubarwienie. Dla wielu nie była to pierwsza wizyta, co oznacza, że w urodę inwestują gruby grosz. Dobry blond też kosztuje. Za farbowanie na międzynarodowym poziomie trzeba zapłacić równowartość około 800 złotych.

Pantery z tej dzielnicy mają gest. Bardziej oszczędne panie, stukając szpilkami, kierują się do supermarketów, które mają całe regały z farbami rozjaśniającymi i obiecują cuda.

W sali obok kobiety także odpicowywały się na większe wyjście i robiły fryzury. Zwykły tapir najczęściej nie załatwia sprawy – panie pojawiają się ze zdjęciami ulubionych gwiazd czerwonego dywanu. Są kobiety z małymi dziewczynkami, którym fryzjerki kręcą loczki, podczas gdy mamy idą pod gofrownicę przygotowującą je pod muśnięte słońcem doczepki.

Pani z ustami w rozmiarze XL i implantami policzków zdecydowała się na wysokie gładkie upięcie prostych włosów w kształt węża. Jej blond ma kolor złotawy, drogi, bez śladów odrostu czy wiewiórki. Niełatwo osiągnąć taki efekt na naturalnie bardzo ciemnych włosach. Obok młoda dziewczyna spierała się z koleżanką, która uważała kok za fryzurę bardzo passé. Nilufar wybrała koszyczek zapleciony na karku z falą opadającą na kość policzkową. Interweniowała też u mojej fryzjerki: „Pamiętaj, tylko czesz na puf!” Stylizacja na nadmuchane serce już dawno wyszła z mody. Na środku asystentki prostowały i zamaszycie rozczesywały blond treski, które sprzedawały się na pniu. Nie widziałam zbyt wielu czadorowych pań. Salon piękności to raczej dominium getrów i obcisłych krótkich topów z połyskliwymi napisami. Parki, kardigany i płaszczyki wiszą z chustami w poczekalni.

Ruszyłam krętymi schodami w górę, do sali makijażu. Okazała się wypełniona stanowiskami wizażystek. Przy każdym oświetlone duże lustro i półleżący fotel dla klientki. „Donatella” przysłała za nami, żeby zobaczyć, co się będzie działo. Nieczęsto ma okazję obsługiwać zagranicznych gości. Wyłożyła się na pustym siedzeniu z komórką w etui z cyrkoniami i czekała na akcję. Tymczasem Nilufar negocjowała opłatę. Za podstawowy makijaż – równowartość 80 złotych, jednak asystentka odradzała tę opcję.

– Jest bardzo zwykły i kosmetyki też przeciętne. Żeby wyszło dobrze, zamów lepszy makijaż na pewniejszych markach. Trzeba dołożyć jeszcze 20 tysięcy tomanów (około 20 złotych) – perswadowała.

Chodziło o moją metamorfozę w panterę – palanga. Nilufar wzięła najdroższą kosmetyczkę, z którą dobrze się zna, i zamówiła wersję deluxe za równowartość 200 złotych. Zależało jej na efekcie gwiazdy Hollywood, a nie Donatelli. To spory wydatek.

Niepewnie wyjęłam własne kosmetyki, nie chcąc zupełnie zdać się na kaprys losu. Rozświetlacz wywołał kompletne zaskoczenie. W Iranie nie jest modny tego typu look. Jest ciężko i matowo. Z okrzykami zachwyty spotkało się za to logo Bobbi Brown. Markę rozpoznano i zaliczono na moją towarzyską korzyść. Odmówiono jednak użycia moich parafernaliów. To punkt honoru makijażystki. Musiałam więc zacisnąć zęby i oddać się w ręce dwudziestoparolatki z niebieskimi soczewkami. Po kilku minutach szpachlowania twarzy i mgły z pudru, tarcia oka i obrysowywania ust dostałam do ręki lusterko.

Absolutna makabra. Nie poznałam się.

To i tak była wersja light, dla charedzi. Mimo to twarz odcinała się jak gruby czekoladowy horyzont na tle szyi. Podkład o kilka tonów za ciemny (opalenizna jest w mo-

dzie!). Brutalny pomarańczowy bronzler wpił się w policzki. Panie raczej się tu brązują, niż używają różu. Śliwkowobrązowy cień rozarty aż do brwi mroził krew w żyłach. Towarzyszyła mu gruba kreska w stylu Kleopatry pociągnięta eyelinerem. Brew – brunatna, sroga i napięta jak cięciwa – pięła się w stronę skroni. Najgorsze były jednak usta, objechane kredką w odcieniu najtańszej Kadarki, wyznaczającą kontur niemal od brody do nosa. A wszystko to spryskane utrwalcaczem, zabetonowane na amen. Ręce mi opadły. Donatella jednak pochwaliła i zapozowałyśmy do wspólnego selfie. Mimikra pełną gębą.

Klientki z twarzami jak kalki mojego lica pocieszały:

– Nie jesteś przyzwyczajona, my się zawsze mocno malujemy, a na wesele to już w ogóle. Poczekaj, aż makijaż się na twarzy odleży, prześpi po persku...

Gruba tapeta zawsze była częścią image'u Iranek, nawet w czasach najczarniejszych czadorów i najdłuższych płaszczy.

Nieco nowszą modą są operacje plastyczne. Iran znajduje się w światowej czołówce pod względem liczby wykonywanych zabiegów i ponoć właśnie w ojczyźnie Chomejnigo najlepiej pójść pod nóż. Chirurdzy są bardzo dobrzy, a ceny umiarkowane.

To nie jest sfera zarezerwowana dla bohaterów Mody na sukces. Niemal każdego stać na rekonstrukcję nosa i wiele osób z tego korzysta. Już dekadę temu zaskoczyła mnie w Iranie powszechność chirurgii estetycznej. Płeć nie gra roli, każdy chce być piękny i trochę bardziej amerykański, niż się urodził. Pacjentem równie dobrze może być sprzedawca warzyw na rogu ulicy, co korpulentny facet w średnim wieku z dywanem na klacie, spędzający wieczory na fajce wodnej z kolegami, pielęgniarka na stażu podróżująca pierwszy raz do stolicy, matrona podjadająca baklawę w metrze czy nieśmiała dziewczica w czadorze.

Plaster na nosie nie świadczy bynajmniej o statusie społecznym – interwencję chirurga postrzega się jako zwyczajną procedurę, coś jak zabieg zdejmowania kamienia nazębnego. Ceny zależą od sławy chirurga i obłożenia kliniki. Za równowartość 4 tysięcy złotych można zrobić nos w przygodnym ośrodku. Za pewne ręce trzeba zapłacić od półtora do dwóch razy więcej. To wyczekiwany prezent dla nastolatki i sposób na lepszy prospekt dla kawalera szukającego drugiej połówki. Prosty, mały nos to kapitał, który procentuje.

Nos zdaje się odgrywać w Iranie szczególną rolę. Nie ma tu tradycji zasłaniania twarzy, więc panie z profilem Dariusza nie mogą schować się za nikabem i strzyc pięknymi oczami. Nos, jaki jest, każdy widzi. Poziom konserwatyzmu nie ma tu nic do rzeczy: mnóstwo dziewczyn w czadorach przekonuje rodziców, by otworzyli sakiewkę. W Iranie piękno duszy nie wystarczy.

Operacje plastyczne nie są tematem tabu. Nikt się tu nie kryje z zasinionymi oczami po zabiegu. Przeciwnie, zaraz po wyjściu z kliniki pacjenci kierują się do modnych kawiarni, by zaprezentować światu swoją przemianę. Zdjęcia z oplastrowaną facjatą trafiają do rodzinnego albumu. Słyszałam nawet o plastrach z logo popularnych marek, dumnie noszonych w górnym Teheranie i centrum Szirazu. Jak się goić, to tylko pod Guccim.

Na rodzinnej uroczystości u znajomych poznałam siedemnastoletnią Arezu, czyli Marzenie. Delikatna dziewczyna, nastolatka, od razu się do mnie przysiadła i wystartowała na „pani” – starzeję się! Już w drugim zdaniu skomentowała mój nos.

– Ładny, mały – rzuciła z uśmiechem przygaszonym nieco przez ból po operacji, którą przeszła ledwie tydzień wcześniej.

– Trochę zadarty – odpowiedziałam, licząc na pocieszającą moc schadenfreude. – Za to twój na pewno będzie doskonały.

Operacja była jej marzeniem od dzieciństwa. Wszystkie jej koleżanki już dawno skorygowały naturę, ona była ostatnia. Martwiła się nieco, że bardzo popękały jej naczynka, ale trudno, zejdzie. Jej drobna twarz była jeszcze opuchnięta i fioletowa. Nieskażone rozjaśnieniem włosy lśniły czarnym blaskiem. Moją pierwszą emocjonalną reakcją był bunt. Siedemnastolatka nie powinna marzyć o skalpeli. Powiedziałam, że na pewno jej nosek był w porządku, a korekta – wyłącznie kosmetyczna. Na co Arezu wyciągnęła telefon z sześciodłowym wyświetlaczem i pokazała mi swoją fotkę „przed”. No cóż... to nie był nosek.

– Okej – przyznałam w odruchu szczerości i empatii. – Rzeczywiście był duży.

Moja nowa znajoma uśmiechnęła się triumfalnie, krzywiąc się przy tym z bólu.

– No widzisz!

W Iranie patrzyłam na wiele takich zdjęć i muszę przyznać, że dziś na ulicy trudno jest zaobserwować tradycyjne nosy w rozmiarze, jaki Boża opatrność im przydzieliła. Irańczycy idą pod nóż, zanim osiągną dojrzałość. Niewiele dziewczyn i chłopaków prezentuje swoje nozdrza z otwartą przyłbicą. To wymaga odwagi płynięcia pod prąd. Decydują się na taki krok na przykład niektóre awangardowe artystki, żeby odciąć się od main-streamu.

Ale poprawianie defektów urody nie jest jedynym powodem, dla którego Irańczycy decydują się na interwencję w dzieło natury. Jednym z celów operacji i zabiegów kosmetycznych jest upodabnianie się do zachodnich celebrytów. To zaś oznacza nie tylko konieczność zmiany rysów twarzy czy fryzury, lecz także koloru oczu. Bo jak to – blond fryzura, nos z żurnala, a wejrzenie bliskowschodnie? Nie może to być! Ale jest na to rada. W niemal każdym centrum handlowym w Iranie znajdziemy stoisko z kolorowymi soczewkami. Najlepiej sprzedają się niebieskie i zielone. Może jako posiadaczka szarych oczu nigdy tego nie zrozumieć, ale wygląda to bardzo nienaturalnie. Niektóre modele są wręcz wampiryczne. Mimo to dziewczyny w Iranie zakładają je przed wyjściem z domu jak sztuczne rzęsy. Widziałam takie akcesoria także w Emiratach, ale w Iranie znalazły więcej zwolenniczek. Z lazurowym wejrzeniem, jasną kaskadą na głowie i nosem za 8 tysięcy można spokojnie uchodzić za kuzynkę Scarlett Johanson.